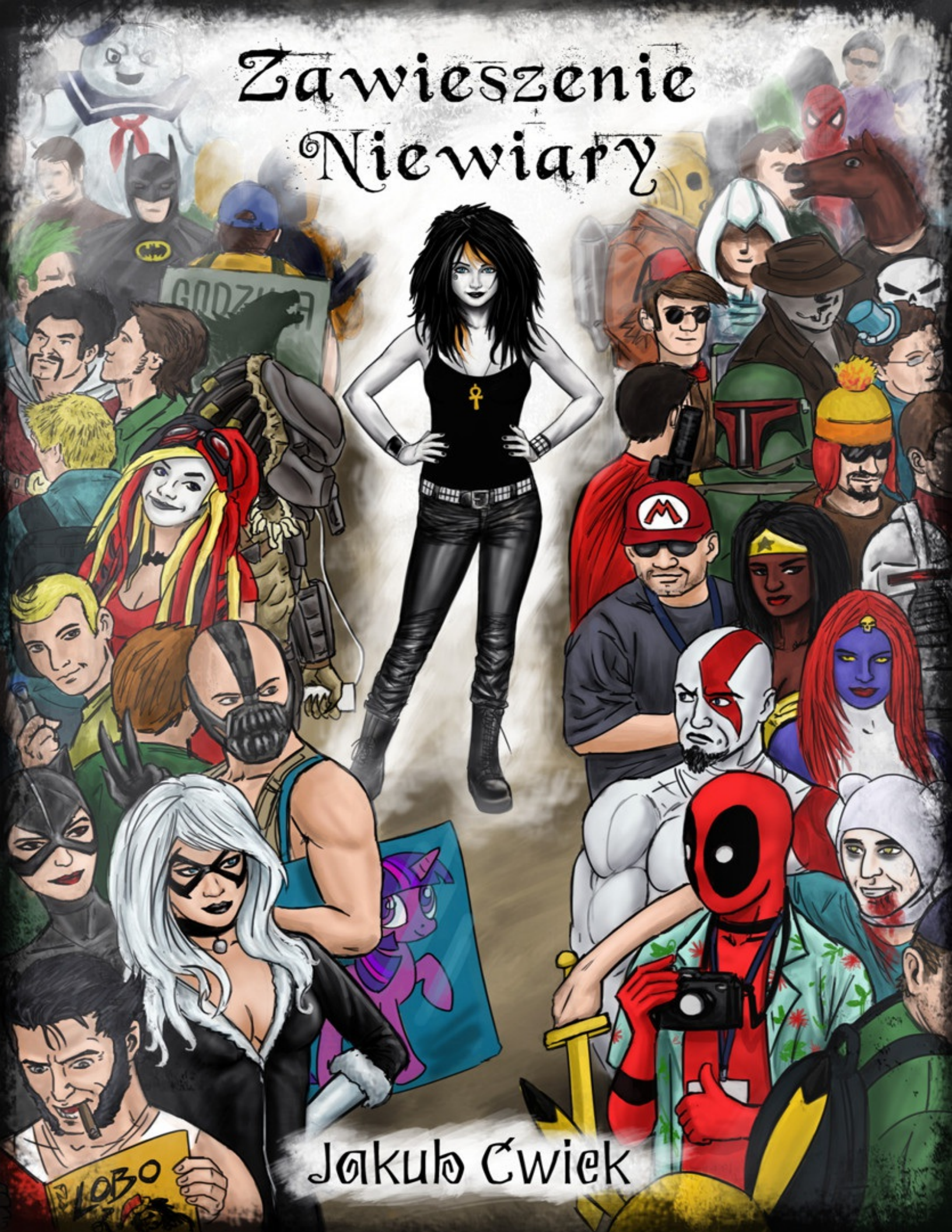


Zawieszenie Niewiary



Jakub Ćwiek



Zawieszenie
Niewiary

Jakub Ćwiek

Jakub Ćwiek

Zawieszenie Niewiary

2014

– Patrz! – zawołał Robal. – Facet z tekturowym krzyżem nawraca Batmana!

Odwróciłem się błyskawicznie, ale tylko na krótką chwilę, potrzebną, by cyknąć fotkę. Przyznaję, brzmiało to nieźle, zabawnie, a nawet pod mema, ale nie było przecież aż tak wyjątkowe w tym miejscu. Na przepelnionej ludźmi ulicy przez szerokie pasy przejścia dla pieszych przelewał się wielobarwny korowód superherosów, geniuszy zbrodni i postaci z kreskówek. Obok musztrował się pluton piersiastych, seksownych nazistek z kosmosu, a w oddali Burtonowski Batmobil pojedynkował się z DeLoreanem na długość śladów ognia pozostawionych za sobą na drodze.

Stałem pośrodku tego wszystkiego na niestabilnym składanym krzeselku, w jednej ręce trzymałem smartfona, a drugą przysłaniałem oczy niczym majtek na bocianim gnieździe. Majtek, który zamiast wyglądać lądu – zabijcie mnie, nie mam pojęcia, co w tej wydumanej metaforze miałyby być lądem – zachwyca się otaczającym go, napierającym nań i kolebiącym jego krzeselkiem oceanem nerdów i geeków wszelakich. Ludzi, którzy gdzie indziej pewnie wyróżnialiby się na tle szaroburych garniturów i garsonek swoimi torbami na gadzety czy T-shirtami z Darthem Vaderem wychodzącym z niebieskiej budki, ale tu pasowali jak ulał, właśnie przez swą liczebność. Bo przecież co możesz nazwać normą, gdy za punkt odniesienia weźmiesz dom wariatów?

Hałas, gwar i świadomość, że gdziekolwiek patrzysz, czegokolwiek jesteś świadkiem, gdzieś z boku, tuż poza polem twojego widzenia, dzieje się na raz kilka rzeczy dużo bardziej ekscytujących i wartych twojej uwagi. Ktoś krzychał o wielkiej promocji, a odpowiadał mu chórem tłum pluszowych psów Wilfredów. Murzyn z dredami spiętymi w kucyk, rapując, rozdawał swoje płyty, nazistki właśnie robiły zwrot, a ich piersi falowały jeszcze chwilę po tym, gdy pięta dobiła do pięty. Steampunkowy Transformer właśnie upuszczał pary z kotła, wzbudzając entuzjazm faceta, który, gdyby tylko się rozebrał, mógłby być Jabbą. Nawracany Batman jednak zrezygnował z Królestwa Niebieskiego, a zaraz po nim wieczne potępienie wybrali też Jon Snow i seksowna Feye Valentine. Facet z krzyżem jednak nie ustępował i dalej głosił Słowo Boże...

– Kurde, nieźle – powiedział Robal, przebijając się przez gwar tłumu i był to najbliższy odpowiednik orgiastycznego, pełnego ekstazy: „Tak!”, na jaki stać było tego nieczulego sukinsyna. – Naprawdę nieźle, Remek!

Gdybym nie był tak zaaferowany wszystkim, co działo się wokół, gdybym nie chłonał tego świata z dziecięcym zachwytem, nie odpuściłbym okazji, by powiedzieć: „A nie mówiłem?”. Bo wiedziałem, że tak będzie. Wiedziałem, że będzie niesamowicie i że będzie warto, niezależnie od trudów podróży.

W końcu, pomyślałem, na moment wznosząc głowę i gapiąc się na ogromny, poobwieszany banerami gmach San Diego Convention Center, w końcu to pieprzony COMIC-CON!

Mało brakowało, a wcale byśmy do San Diego nie trafili. Gdy teraz na to patrzę, mam wrażenie, że choć kupiliśmy w lutym wejściówki, to do przełomu marca i kwietnia traktowaliśmy to wszystko jak mrzonkę. Dość powiedzieć, że nie złożyliśmy wtedy nawet jeszcze wniosków paszportowych, że nie wspomnę o niezbędnej przecież wizie, z którą było jednak trochę zachodu. Gdy ludzie pytali nas w tym czasie – część z zazdrością, większość z niedowierzaniem – czy nadal się wybieramy, odpowiadaliśmy dziarsko, że pewnie, czemu nie. Gdy przychodziło jednak do rozmów między nami, piętrzyły się wątpliwości i przeszkody. Najpoważniejszą był oczywiście założony budżet, który jeszcze nie zaczął się zbierać, a już się kurczył w możliwościach, aż w pewnej chwili stał się tak wąty, że stwierdziliśmy: „Cóż, jednak za rok”. A potem nagle znikąd pojawiła się premia, jakaś zaliczka, ktoś przypomniał sobie o zaległości, ocknął się honorowo i znowu wróciliśmy do gry. Groźny podobno konsul oddelegował do nas fana komiksów, który zamiast nas maglować, zapytał tylko: „Ulubiony komiks?”. Usłyszawszy, że Batman, przydzielił wizę, a pewne linie lotnicze – ukraińskie, z samolotem tak starym, że miał jeszcze w podłokietnikach popielniczki – miały ostatnie dwa bilety akurat w naszym terminie. Wtedy po raz pierwszy powiedziałem Robalowi, że ktoś nas tam jednak chce. On wzruszył ramionami i z właściwą sobie znudzoną nonszalancją stwierdził: „Bóg kocha głupków”.

To oczywiście nie był koniec przygód. Z mojej durnej inicjatywy, zamiast bezpośrednio do Kalifornii, lecieliśmy do Nowego Jorku z zamiarem przebycia Stanów autostopem. Tydzień w jedną, tydzień w Cali, tydzień z powrotem – tak to widziałem, a Robal nie był ani trochę mądrzejszy, bo uznał, że plan brzmi spoko. Nawet mimo tego, że gdziekolwiek spojrzeliśmy, w jakiegokolwiek miejsce w sieci zapuścilibyśmy żurawia, wszędzie było: nie, żaden stop. Albo was aresztują, albo zgwałcą i zjedzą, a jak będziecie mieć pecha i traficie do niektórych stanów – nie precyzowano których – to tamtejsza policja może nawet zaoferować full service...

Skończyło się na tym, że pierwszy dzień w Wielkim Jabłku kosztował nas spory procent budżetu, autostop zmarnował dzień drugi. I został nam, zrezygnowanym i zmęczonym, jedynie legendarny Greyhound za stawkę dużo, dużo wyższą, niż gdybyśmy o nim pomyśleli zawczasu. Tacy to właśnie byliśmy mądrzy, ale – jak mawia Robal – nie ma tego złego, bo dzięki temu mieliśmy czas, by zastanowić się, gdzie i za co będziemy jeść i spać, gdy już dotrzemy na miejsce. Wszystko bowiem wskazywało na to, że skoro sypały się wszystkie nasze awanturnicze plany, to i opcja „będziemy na dziko kimać na plaży, przecież to Kalifornia” mogła się nie sprawdzić. Poziom entuzjazmu trochę nam wtedy opadł.

Aż tu znowu niespodzianka, przejaw miłości Boga do swych opóźnionych tworów, bo nagle na jakimś fanowskim forum trafiliśmy na dwójkę cudownych ludzi. Przygarnęli nas do siebie, nakarmili, a potem przywieźli pod konwentowy gmach i zostawili z małymi plecaczkami, wielkim zachwytem i rozchybotanym składanym krzeselkiem, na którym jakimś cudem udawało mi się utrzymać

równowagę.

* * *

Kolejka do rejestracji, gdy już się na nią zdecydowaliśmy, onieśmiała trochę swym ogromem. Szeroki na cztery osoby ogon ludzi ciągnący się wzdłuż całego gmachu i dalej, aż pod hotel, łącznie z dobre pół kilometra, sprawiał wrażenie, jakby wcale nie malał. Dopiero gdy skupiłeś wzrok na jakiejś osobie, orientowałeś się, że wszystko idzie sprawnie i szybko, tylko po prostu ciągle dochodzi ktoś nowy i ta rzeka ludzi bezustannie płynie. Próbowaliśmy się wryć gdzieś w środek, ale ktoś nas grzecznie upomniął i zrobiło się nam – znaczy Robalowi, bo mnie to nie bardzo – najzwyczajniej głupio. Grzecznie ruszyliśmy więc wzdłuż ogonka na sam jego koniec. Idąc, rozmawialiśmy po polsku, co nawet wzbudzało pewne zainteresowanie.

– Jak myślisz – zastanawiał się na przykład Robal – czy gdybyśmy zrobili sobie na szybko takie koszulki, jak ma ochrona, to by się połapali?

Nie miałem pojęcia, ale nie sądziłem, by wszyscy tu się znali z twarzy. Zawsze można było powiedzieć, że jest się nowym, ogólnie wykpić jakoś sprawnie, nadrabiając pewnością siebie, uśmiechem i... no właśnie, tu był problem.

– Z moim angielskim, brachu, mieliby mnie, zanim bym się przedstawił – stwierdziłem zgodnie z prawdą.

A potem szybko, żeby nie wyszło, że tylko ja jestem ofiarą losu, dodałem:

– Ty też masz zresztą akcent rosyjskiego taksówkarza.

Kazał mi się pierdolić, co w tym kontekście znaczyło, że w zasadzie mam rację. Szliśmy więc dalej bez zuchwałej myśli o przeniknięciu w szeregi obsługi.

Żar lał się z nieba, kolejka po lewej brzęczała cicho jak ogromny rój wszechbarwnych spoconych pszczół. Było za gorąco, by ukrywać tożsamości, więc widzieliśmy wielu herosów bez masek czy hełmów, z rozpiętymi zbrojami, poluzowanymi kostiumami, części z nich rozmywał się starannie zaprojektowany i wykonany makijaż. Heroiny, na co zerkaliśmy ukradkiem, chwytaly w ręce swoje plastikowe, pancerne biustonosze i oddychały je nieco, by dać odetchnąć ściśniętym piersiom, a cała reszta wachlowała się kindle'ami, komiksami czy darmowym wydaniem lokalnej gazety.

– Gdy już dostaniemy program, musimy ustalić plan działania – powiedziałem, usuwając się na bok i robiąc miejsce meksykańskiemu podrostkowi z dużym jak on sam baniakiem wody na plecach. – Stary, przy tylu ludziach może być naprawdę źle, jeśli...

Przerwałem, bo nagle chwili zamiast w pełnym słońcu znalazłem się w cieniu czegoś. Czy raczej kogoś, jak zorientowałem się, odwróciwszy wreszcie głowę i spojrzawszy przed siebie. Aż sapnąłem z niedowierzania i zachwytu. Przedemną bowiem stał najprawdziwszy Thor!

* * *

Powiedzieć, że znam się na bogach, to gruba przesada. Ot przeczytałem w życiu parę książek, w dzieciństwie mitologie chłonałem na równi z baśniami Grimmów i *Piotrusiem Panem*, a potem to i owo powtórzyłem sobie, robiąc research do mojego literackiego debiutu. Jedne z tych historii osadziły się w pamięci mocniej, inne słabiej tak, że mogłem w miarę swobodnie dyskutować o panteonach przy piwie, ale już nie wyklądać o nich na uniwerku.

Teraz jednak, stojąc przed olbrzymem, który pojawił się znikąd, by zasłonić sobą rozżarzone do białości kalifornijskie Słońce, nie miałem wątpliwości, kto zacz. Thor ten w niczym nie przypominał jednak ani swego Marvelowskiego odpowiednika – o przystojnej, nieogolonej twarzy Chrisa Hemswortha, ani też nie miał właściwych sobie atrybutów, takich jak rogaty hełm czy młot Mjöllnir. Nosił za to płócienną koszulę, skórzane spodnie, a na nich pas z klamrą w błyskawice, brodę sięgającą potężnej piersi z wplecionymi w nią warkoczami, a na przedramionach zdobione srebrem karwasze. Długie, złote włosy związał rzemieniem w kuc, ale i tak pojedyncze kosmyki opadały na surową twarz pokrytą paskudnymi różowymi dżdżownicami blizn. Brakowało mu czubka nosa, a lewe oko nie domykało się, gdy mrugał. Tym, co utwierdziło mnie w przekonaniu o jego tożsamości, były błyskawice – wijące się niczym małe węże i oplatające wzdłuż pni jego nóg, mknące po rzeźbionym brzuchu i gargantuicznej klacie, opinające głązy bicepsów.

Patrzyłem na niego w niemym podziwieniu, zastanawiając się, jak wiele wysiłku trzeba było włożyć w przygotowanie tego kostiumu, oraz jak to jest w ogóle być tak zajebiście wielkim skurwysynem! To bowiem najbardziej nie mieściło mi się w głowie. Przy moim metrze osiemdziesiąt nie należę do niskich, a przecież temu gigantowi ledwie sięgałem ponad pas. Zwiewna koszula nie pozwalała mieć pewności, ale mogłem iść o zakład, że gdy nie podnosiłem wzroku, patrzyłem mu na... pępek! I jak to możliwe, że wcześniej go nie zauważyłem? Wyrósł jak spod ziemi, by po prostu stanąć mi na drodze i skryć w swym cieniu, roztaczając wokół nieprzyjemną woń niewygarbowanej skóry, przetrawionego mięsa i zwiędzłego potu. Jakim cudem po prostu stał sobie, nie wzbudzając sensacji?!

Co w tym wszystkim najdziwniejsze, Robal nadal szedł jak gdyby nigdy nic, wgapiiony w ekran swojej komórki połączonej teraz z lokalnym wi-fi, obojętny na olbrzyma i na to, że jeszcze chwilę temu mówiłem do niego, a potem urwałem w pół zdania. Pewnie nawet nie zorientował się, że już nie idę obok. Miałem wrażenie, że słyszę, jak wciąż mi przytakuje.

Tymczasem Thor rozglądał się przez chwilę, po czym uniósł rękę i ruszył nagle prosto na mnie. Ledwie zdążyłem trochę uskoczyć, choć i tak mnie walnął na tyle mocno, że z sykiem rozstałem obtłuczone ramię. On tymczasem szedł, a ziemia pod jego stopami drżała i się trzęsła, co znowu zrobiło wrażenie tylko na mnie, a nie na zdekonspirowanych herosach, półnagich heroinach i całej reszcie.

– Robal! – zawołałem.

Gdy się obejrzał, wyciągnąłem rękę, by pokazać mu olbrzyma, który jakimś cudem uszedł jego uwadze. Ale, co zawsze jest dziwne, gdy narracja ni stąd, ni z owąd wkracza bez pardonu w nasze życie, olbrzyma już nie było. Ani na chodniku,

ani nigdzie, jakby rozmył się w powietrzu.

Został po nim smród, ale najwyraźniej czułem go tylko ja.

* * *

W kolejce staliśmy półtorej godziny. Choć upał dawał się we znaki, woda kończyła, a atrakcje konwentu umykały niezaliczone jedna za drugą, spędziliśmy ten czas całkiem miło. Poznaliśmy Rogera, który wiedział wszystko o komiksach i raczył nas ciekawostkami o tym, jak to Marvel miał swego czasu przejąć sztandarowe postaci DC, ale przeszkodził mu w tym urząd antymonopolowy. Potem był chudy Marko o pociągłej twarzy, ciemnej skórze i oczach wąskich jak szparki. Ja upierałem się, że to Portorykańczyk, ale Robal stwierdził, że guzik się znam i tak tylko gadam, żeby gadać. Marko z kolei był ogromnym fanem *True Blood* i – sądząc po tym, co mówił o Alexandrze Skarsgårdzie – chyba trochę gejem. Nie żeby nam to przeszkadzało, ale zabawnie było obserwować, jak gość o prezencji portorykańskiego nożownika zachwyca się dwumetrowym kolesiem z serialu opartego na powieściowej serii wampirycznych romansów. Nieco dalej siedzieli na kocu Bernard i Bianka – nie, nie nazywali się tak, ale nie zapamiętałem imion, a zachowywali trochę jak postaci z Disneya. Ona śliczna, elegancka, z apaszką na szyi i w kremowych rybaczkach, spoczywająca w pozycji „dama na pikniku”; on pucułowaty, nadskakujący jej i jakby wiecznie zdyszany. Zgadaliśmy się z nimi na temat *Firefly*, co było dobre i niedobre zarazem, bo potem zniosło nas na chwilę w stronę *BSG* i tam już zostaliśmy, a właściwie to Robal został, w ułamku sekundy okopując się na stanowisku zdeklarowanego przeciwnika tej produkcji. Gdy on się kłócił, ja najpierw podpytywałem ludzi o Thora – którego, jak się obawiałem, nikt prócz mnie jednak nie widział – a następnie nieudolnie próbowałem poderwać czarną Wonder Woman, ale osiągnąłem jedynie to, że poczęstowała mnie bekonowymi pringlesami.

Wreszcie zarejestrowani o trzynastej dwadzieścia czasu lokalnego, czy też raczej o pierwszej dwadzieścia po południu, weszliśmy na teren konwentu. Zanim zdążyliśmy przejrzeć grube tomiszczą informatorów, zanim zorientowaliśmy się, co i gdzie się właśnie dzieje, niemal natychmiast wielka, gwarna sala wystawowa stanowiąca centrum imprezy wciągnęła nas w siebie niczym czarna dziura.

* * *

Wrażenia z ulicy przed gmachem? Małe miki, bo to co działo się tutaj, przechodziło ludzkie pojęcie! Ogromne targowisko, festiwal pstrokacizny powiewającej nad potężnymi gmachami firmowych stoisk. Tu mauzoleum lalek *Monster High*, tam żywe trupy dobywające wysokie na trzy metry ogrodzenie z siatki. Nie ma jednak powodu do obaw, bo nadlatują już Avengers z Lego zawieszeni nad naszymi głowami na stalowych linkach. Gollum uczeplił się logo Warner Bros, a z balkoniku willi grupa bogatych Rzymian przygląda się walkom prawie nagich, świecących oliwą gladiatorów.

To wszystko na pierwszy rzut oka, nim łapie cię prąd rzeki ludzi, bo wtedy nie

masz już czasu na złapanie tchu i rozejrzenie się – widzisz tylko stoisko, na nim tysiące wszechbarwnych komiksowych zeszytów, kolejne to figurki, a za szklaną gablotą zdjęcia podpisane przez największych świata rozrywki.

Daliśmy się ponieść, daliśmy sobie wcisnąć najpierw drewniane wąsy, a potem pakiet pewnie nic nie wartych w kraju płyt DVD. Ale jak mogło być inaczej, gdy do wąsów namawiały nas dwa miniony z *Despicable me*? Pierwszy, ten z jednym okiem skrytym pod gogłem, powiedział:

– Będziecie wyglądać jak dżentelmeni.

Drugi, w okularach i niebieskiej czapce z daszkiem, dodał:

– Każdy superzłoczyńca ma takie!

Zaśmiali się do nas i pewnie trochę z nas dwaj kolesie przebrani za pieprzone żółte tik-taki, więc choć mieliśmy pewność, że właśnie dajemy się wkreścić, pozwoliliśmy na to, wyciągając z portfela pakiet skromnych washingtonów z twardym postanowieniem, że jeśli będzie ich za mało, to odpuszczamy. Ale wystarczyło. A potem parę metrów, dwóch Spider-Manów, dziesięć mangowych lasek i milion nieprzebranych nerdów później zapragnąłem zdjęcia z boginią wyuzdanego seksu w lateksowym bikini i porwanych pończochach, co kosztowało nas dwudziestkę. Na te płyty właśnie.

Zaskakujące, że gdy chciałeś wydać pieniądze, tłum wokół ciebie się rozstępował i już nie niósł cię ze sobą, jakby portfel był Mojżeszową laską, a wszystko wokół Morzem Nerdowym, przez które możesz przejść suchą stopą, jeśli tylko wierzysz w boga Ekonomii... My jednak już wydaliśmy nasze na teraz, więc cap, prąd złapał nas znowu. Po jednej Captain America, po drugiej Walter White, aż chciało się ich sobie przedstawić, powiedzieć: „Panie Rogers, jeśli to pan, bo nie nadążam za zmianami w Universum, widzi Pan, jestem z Polski, ale mniejsza, bo oto przedstawiam osławionego Heisenberga, króla niebieskiej mety, bezwzględnego przestępcę i druglorda. Może być pańskim Jokerem, bo Red Skull już trochę trąci zdechłym truchłem”.

Powiedziałem o tym pomyśle Robalowi i nawet się zaśmiał, choć raczej z uprzejmości, bo już zobaczył pierwszą z księżniczek Lei w złotym bikini i mogłem zapomnieć, że coś jeszcze pracuje w głowie temu cholernemu gwiazdnowojennemu freakowi. Ale nie narzekałem, bo Leia, jak przystało na nową przybraną córkę staruszka Disneya, stała otoczona wianuszkiem swych szlachetnie urodzonych sióstr, z których wszystkie były śliczne. Na Jasmine nie mogłem się wręcz napatrzeć i wgapiąłem się w nią, aż tłum wyrzucił nas niemal w punkcie wyjścia, pod wielkimi stoiskami filmowych wytwórni.

Staliśmy w zasadzie metr od nowego bat-czegośtam – chyba helikoptera, ale jeśli tak, to ze złożonym wirnikiem. Już miałem klepnąć idącego karkołomnie tyłem Robala w kark, gdy nagle zza kolumny Legendary Studio wyłonił się kolejny olbrzym.

Pierwsza myśl: „to znowu on”. Ale nie, zupełnie nie ten strój, nie ta postura. Ten tutaj był nieco mniejszy i już na pierwszy rzut oka węższy, choć lepiej wyrzeźbiony. Poza tym ubrany był jedynie w skórzaną biodrową przepaskę i lwią skórę, taką z

łbem, która służyła mu za płaszcz z kapturem. Skórę miał ów olbrzym ciemną jak zabejcowana decha, brodę krótką, czarną, nos spłaszczony jak bokser. W jednej dłoni – Chryste, jak to możliwe, że zwróciłem uwagę na taki detal?! – brakowało mu palca. Jedynym, co łączyło go z Thorem sprzed budynku, były różowe blizny, niektóre głębokie, inne wręcz wypukłe za sprawą ohydnych bliznowców.

Łączyło ich coś jeszcze, ale oczywiście nikt prócz mnie go, kurwa, nie widział. Nikt nie zadzierał łba, nikt nie pokazywał palcem, nie pytał, czy można sobie strzelić samojebkę i czy byłby łaskaw do tego przykleknąć. Tłum zainteresowany bardziej ulotkami i okrągłymi badge'ami z twarzami jacksonowsko-tolkienowskich krasnoludów po prostu rozstępował się przed olbrzymem i zamykał zaraz za nim, gdy ten powoli, z zaciętą miną stapał w stronę wyjścia.

Tym razem nie odpuściłem. Złapałem Robala za ten jego durny kudłaty łeb i siłą odwróciłem, by spojrzeć.

– Patrz! – krzyknąłem. – Patrz, kurwa!

Mogłem kląć, ile wlezie, bo nikt mnie tu nie rozumiał, ale chyba i tak bym na to wtedy nie zważał wtedy, tak bardzo byłem pod wrażeniem, tak bardzo chciałem udowodnić sobie, że nie wariuję, że mi szczęście z bytności tutaj nie przepaliło obwodów w mózgu. Gdy szarpnąłem szyją kumpla, coś w niej chrupnęło i przez ułamek sekundy pomyślałem, że właśnie go zabiłem. Na oczach tysięcy świadków, na Comic-Conie w San Diego, właśnie zabiłem człowieka...

Stanę się twarzą psychopatycznego fana, przemknęło mi przez głowę. Obliczem, którym znerdowaciali rodzice straszą swoje małe nerdziątka. „Jak nie będziesz wpieprzał tych płatków w kształcie piksarowskich aut, to przyjdzie pan Remek i zrobi ci to, co zrobił swojemu koledze pod pawilonami Warnera i Legendary!”. Będą o mnie ze zgrozą i obrzydzeniem mówić w wiadomościach Stan Lee i Joss Whedon. Frank Miller nazwie mnie chorym skurwysynem, który powinien skończyć na krześle i w dodatku cierpieć jak Francuz z *Zielonej Mili!*

To wszystko przemknęło mi przez głowę wraz z tym jednym tylko chrupnięciem Robalowej szyi, ale oczywiście nic się nie stało. Mój przyjaciel jęknął tylko, a potem we właściwym sobie stylu wrzucił ramionami i mruknął:

– No, troll z *Hobbita*, wielka mi rzecz...

– Jaki troll, debilu?! To Herkule... – zacząłem, ale wtedy sam spojrzałem w tamtą stronę.

Rzeczywiście, olbrzym z lwim kapturem zdążył zniknąć za figurą olbrzymiego filmowego trolla, przy której właśnie robiła sobie zdjęcie jakaś szczęśliwa rodzinka ubrana w kostiumy z *Iniemamocnych*. A choć w powietrzu, jak poprzednio, unosił się nadal zapach, tym razem świeżo tłoczonej oliwy, nie mogłem dać głowy, że to nie z pobliskiego stoiska stacji telewizyjnej STARZ, tej od *Spartacusa*.

Przysunąłem się bardziej do barierki, by wyrwać się z prądu, po czym wziąłem kilka głębszych oddechów.

– Muszę chwilę odsapnąć – powiedziałem Robalowi i umówiliśmy się za pół godziny pod Dark Horse'em, gdzie miał podpisywać Joss Whedon. On zniknął, a ja wyciągnąłem z plecaka małą butelkę wody.

Wtedy właśnie minął mnie Batman. Ale nie jakiś tam, tylko Michael Keaton w swym koszmarnej niewygodnym gumowym wdzianku. Nie mogło być mowy o pomyłce! Przeszedł tuż przede mną, a ja przecież widziałem ten film milion razy, rozpoznałbym i strój, i podbródek, i przede wszystkim wgłębienie nad ustami oraz ten opadający lekko kącik ust, nadający jego uśmiechowi szaleńczego wyrazu. Gdy był Batmanem, Keaton robił coś dziwnego z wargami, jakby próbował tę górną wcisnąć w dolną, i następowało spiętrzenie. Dolna wysuwała się i nadymała zabawnie. Jak teraz.

Tyle że, chwila... Gdzie ja widziałem ostatnio Keatona? W jakim filmie? Na pewno nie wygląda już tak dobrze, tak młodo! Nawet ten cholerny podbródek musiał mu się zestarzeć!

Zerwałem się więc, rozpięty plecak zarzuciłem na ramię... I to był błąd, bo zaraz wszystko, co tam miałem – dwie książki, kanapka, kilka komiksów – poleciały na ziemię, a tłum wokół mnie natychmiast się rzucił, by pomóc to pozbierać, i zupełnie zablokował mi ruchy. Z nogą uwięzioną między kucającą grubszą Murzynką a wytatuowanym mięśniakiem, który zbierał moje komiksowe *Evil Deady* – kupione jeszcze w Nowym Jorku na wypadek gdybyśmy mieli spotkać Bruce'a Campbella albo Sama Raimiego – zdołałem jeszcze w akcie desperacji zawołać:

– Hej, Batman!

Obejrzał się, całym sobą, jakby był w ortopedycznym kołnierzu, a potem uniósł rękę i cisnął sobie pod stopy kulkę dymną, w której się rozwiął.

A ludzie co? Przechodzili przez ten dym jak... przez dym właśnie, zupełnie nie zwracając uwagi. Jakby nic się nie stało.

* * *

Może to udar, myślałem, sadowiąc się na wolnym kawałku podłogi między ruchomymi schodami. Choć na holu głównym było dużo luźniej niż w sali wystawowej, to jednak znaleźć takie miejsce, by można było usiąść i się zastanowić... cóż, zajmowało to chwilę. W końcu jednak utrafiłem moje, usiadłem obok Rocketeera, który trzymał hełm na kolanach. Dzięki temu z rozbawieniem stwierdziłem, że chłopak wygląda trochę jak młody Slash albo Lenny Kravitz, w każdym razie mulat z kręconymi włoskami, dużym, płaskim nosem i wydatnymi wargami, zupełnie nie jak młodziutki pilot oblatywacz Cliff Secord. Ale cóż, pomyślałem, skoro Nick Fury mógł się zmienić w Samuela L. Jacksona...

Znowu sięgnąłem po butelkę wody, a potem odpowiedziałem pochylającej się nade mną Meridzie Walecznej, że nie, tu nie ma wolnego gniazdko do podładowania komórki. Takie było, owszem, ale parę metrów obok i zajmował je właśnie Alucard, wampir z anime, którego imię było anagramem słowa Dracula, więc nie wiem, czy liczylibym na jego uprzejmość. Dopiero gdy Merida podziękowała i odeszła, mogłem wrócić do mojego problemu. Tak więc udar...

Właściwie mogłem mieć gorączkę. Czasem mi się zdarzała, na przykład w dzieciństwie, gdy mieliśmy jechać do wesołego miasteczka albo przed każdym ważniejszym egzaminem. Jestem też prawie pewien, że przy okazji swojego

pierwszego razu mogłem płonąć nie tylko metaforycznie, ale niemal całkiem dosłownie. Nie wiem, akurat tego nie pamiętam.

No więc gorączka, co jeszcze? Nie byłem raczej odwodniony, niczego nie zżywałem, żołądek w miarę grzecznie przyjął zmianę diety. Czy sama ekscytacja może wywoływać halucynacje? To byłaby dopiero nowość...

Nie wiedzieć kiedy wyjąłem z plecaka notes na autografy i zacząłem rysować na tylnych stronach jakieś pierdoły. Zawsze tak miałem, jeszcze w szkole. Lepiej mi się myślało, gdy gryzmołem kółka, a w nich oczka i bużki, potem koślawe miecze, udziwnione napisy – najczęściej imiona jakichś dziewczyn, albo – ha ha, artystyczna miłości własna! – swoje.

Co jakiś czas rzucałem znad tej mojej kartki nieprzytomne spojrzenie na siedzącą naprzeciw dziewczynę, która, ilekroć to robiłem, uśmiechała się do mnie całym swym nążeńnym aparatem. Po chwili dotarło do mnie, że pewnie jest przekonana o byciu przeze mnie portretowaną. Już miałem zaprzeczyć, gdy nagle, przysiadła się do mnie...

Śmierć.

* * *

Żebyśmy mieli jasność, żaden tam obleczony w szatę kościotrup, tylko śliczne białolice dziewczę o czarnych, rozwichrzonych włosach, z krzyżem Ankh na szyi. Ubrana w punkowym stylu, miała obcisłą koszulkę na cienkich ramiączkach, jakieś bransoletki na rękach, świekowany pas z wielką srebrną klamrą, skórzane, czy też raczej lateksowe spodnie do wysokich glanów. Wypisz wymaluj siostra Snu z Gaimanowskiego Sandmana. Tyle że ta moja miała jakąś taką... znaną mi twarz, a spod czarnej, lekko przekrzywionej peruki wystawał niesforny kosmyk złotorudych włosów.

Było oczywistym, że nie jest jedną z „tych” postaci, jak Herkules czy Batman. Jakiś chłopaczek w żółtej koszulce z Wolverine’em skomentował bowiem jej kostium, że ładny, na co ona podziękowała miłym, delikatnym, dziewczęcym jeszcze głosem. Zmarszczyłem czoło i zacisnąłem usta, jakby to miało pomóc mojej pamięci. Skąd ja ją znam?!

Śmierć tymczasem usadowiła się wygodnie, wyprostowała nogi i położyła ręce na kolanach, po czym zadarła głowę i dmuchnęła sobie w grzywkę i kosmyk, którego jednak albo nie widziała, albo zupełnie jej nie przeszkadzał.

– Umrzeć można w tej czerni – westchnęła.

To byłoby zabawne, zważywszy na to, za kogo jesteś przebrana, pomyślałem, wciąż marszcząc czoło i kreśląc w notesie kolejną warstwę kółek. Nagle zorientowałem się, że powiedziałem to na głos, do tego... całkiem płynnie.

Odwróciła się i spojrzała na mnie, w pierwszej chwili zaskoczona, ale zaraz uśmiechnęła się szeroko. I wtedy, z tym uśmiechem, który podkreślił wydatne kości policzkowe, z tymi uroczymi dołeczkami, w tych zmrużonych niebieskich oczach... rozpoznałem! Aż się wyprostowałem.

– Przepraszam, czy ty jesteś... – zacząłem, ale ona już wyciągnęła rękę i wciąż z

tym pogodnym uśmiechem, który był zbyt pogodny, zbyt radosny, by pasował do jej przebrania, przedstawiła się:

– Molly! A ty?

Proste pytanie z serii: „Hej, rozmówco, ułatwię ci zadanie”, ale i tak potrzebowałem chwili, nim powiedziałem:

– Remo, Remek, znaczy...*I mean, I mean*... – przejechałem ręką po twarzy, mając świadomość, że nie zabrzmiało to dobrze.

Ale przecież siedziała przy mnie Molly Queen albo, jak kto woli, Alexis Castle, córka Richarda Castle’a, pisarza–detektywa o twarzy Nathana Filliona. Siedziała w kostiumie Śmierci, siostry Sandmana, i sama z siebie zagadała. Gdybym kilka godzin wcześniej nie widział na własne oczy nordyckiego Boga Piorunów, pierwszego herosa Hellady i Batmana żywcem wyrwanego z głowy Tima Burtona, na pewno uznałbym to za spotkanie numer jeden tego dnia.

Molly z urokiem i taktem przykryła moją niezręczność kolejnym uśmiechem, po czym wsunęła wreszcie niesforny kosmyk pod perukę.

– Masz zabawny akcent – powiedziała. – Skąd jesteś?

– Z Polski – powiedziałem.

Nagle pożałowałem, że nie ma tu ze mną Robala. On tachał w plecaku te wszystkie nasze cepeliowe pamiątki, jak czerwonobiałe flagi na patyczkach, małe orzełki do wpięcia w klapę. Nie wiem, dlaczego na wolnocłowej w Warszawie uznaliśmy rozdawanie tego Amerykanom za fajny pomysł. Teraz też nie wiedzieć czemu... Nie, uznałem po głębszym namyśle, w sumie dobrze, że go tu nie ma.

– Przyleciałem z kolegą.

Potem, bo oczywiście za mało było żenujących zdań w tej rozmowie, dodałem:

– To mój pierwszy. Comic-Con w sensie.

Pokiwała głową i rozmasowała udo, krzywiąc się przy tym.

– Jesteś pisarzem? – zapytała po chwili wystarczająco dłużej, bym zdążył uznać tę uprzejmą konwersację za zakończoną.

Powiedziała to zresztą, nie patrząc na mnie, tylko gdzieś przed siebie, więc w pierwszym odruchu podążyłem za jej spojrzeniem, zastanawiając się, czy nie zobaczę tam aby Joe Hilla albo kogoś z innych autorów, po których już na pierwszy rzut oka widzisz, że piszą. Ale nie, pytanie było do mnie, więc nieco zaskoczony, kupując czas na poskładanie odpowiedzi, odbiłem piłeczkę:

– Skąd ten pomysł?

– Masz notes, ale rysować... cóż, nie potrafisz. – Uśmiechnęła się uroczo, ani chybi chcąc złagodzić mi ten cios. – A skoro jesteś tu, na konwencji, nie przebierasz się, nie rysujesz i nie jesteś tu przypadkiem, to musisz pisać... No i masz plakietkę z napisem „prasa”, ale nie masz aparatu.

Podążyłem za wskazaniem jej palca i podniosłem szeroki, prostokątny identyfikator, na którym pod moim nazwiskiem rzeczywiście znajdowała się nazwa zaprzyjaźnionego wydawnictwa prasowego i duży napis *PRESS*. Okazało się, że gdybym wiedział wcześniej, za jego sprawą mogłem sobie oszczędzić stania w długiej kolejce do rejestracji. Puściłem znaczek i odpowiedziałem uśmiechem.

– Masz niezłe oko – stwierdziłem.

Skinęła głową.

– Czasem widzę to i owo – odparła. – A czasem więcej. Jestem w końcu Śmiercią, czyż nie?

– Owszem, jesteś.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu obok siebie. Ona wyraźnie odpoczywała, a ja składałem w głowie słowa, słowa w zdania. Z jednej strony było mi trochę głupio, bo czułem się jak uczeń, będąc przecież w wieku, w którym stanowczo tak się czuć nie powinienem. Z drugiej strony, czy powinienem w ogóle coś takiego mówić albo nawet myśleć, cofając właśnie nogi, by zrobić przejście dwóm grzybkom z Mario Bros?

W końcu wrzuciłem notes do plecaka i odsunąłem się od ściany, by zwrócić bardziej do Molly.

– Powiedz, widziałaś tu może Thora i Herkulesa? – zapytałem nagle, sam nie wiem dlaczego.

Może uznałem, że jako aktorka miała jakieś wieści o planowanych dodatkowych atrakcjach. Może coś słyszała o jakimś happeningu? Może zwyczajnie uznałem, że fajna jest ta nowa znajomość i głupio byłoby ją skończyć na zdawkowych uprzejmościach. A że to właśnie siedziało mi w głowie...

Spojrzała na mnie, marszcząc brwi i ściągając usta. Znałem tę minę, znałem bardzo dobrze z serialu. U Alexis Castle znaczyła, że się martwi. Co znaczyła u Molly Queen?

– Kogo jeszcze widziałeś? – chciała wiedzieć.

– Batmana – stwierdziłem po chwili namysłu.

Nie byłem pewien, czy aby na pewno powinienem go klasyfikować. Bądź co bądź nie pasował do mitologicznych bogów. Okazało się jednak, że dobrze zrobiłem, bo zamiast się roześmiać, zapytała poważnie:

– Którego?

– Burtonowskiego. Keatona. Szedł w tym gumowym stroju, a gdy go zawołałem, odwrócił się i zniknął w chmurze dymu.

Nagle zorientowałem się, że mój angielski zrobił się jakby płynniejszy. Słowa, nie dość, że pojawiały się w głowie, to jeszcze układały się we właściwym porządku. Nadal nie tak gładko jak po polsku, ale dużo, dużo łatwiej. Postanowiłem to wykorzystać, zadając kolejne pytanie:

– Molly, powiedz, czy ty coś wiesz? Bo trochę się z tym wszystkim czuję jak wariat i...

– Może wiem. – Uśmiechnęła się, podciągnęła nogi i podniosła się powoli. – A może nie wiem. Trudno powiedzieć... Choć nie, w zasadzie łatwo.

– Teraz brzmiś jak Delirium – mruknąłem, również się podnosząc.

Gdy dostrzegłem jej uniesioną brew, wyjaśniłem:

– Delirium, inna siostra Sandmana. Ta, która...

– ...mówiła kolorowymi dymkami pełnymi kwiatków – dokończyła za mnie, niemal dokładnie ubierając w słowa moją myśl.

Gdy skończyła poprawiać i wygładzać kostium, wyciągnęła rękę.

– Zobaczymy się jeszcze.

Nie brzmiało to jak pytanie, ale i tak, ściskając podaną dłoń, wyraziłem nadzieję, że owszem, chętnie. Potem patrzyłem jak odchodzi. Gdy wreszcie zniknęła przysłonięta potworami z *Hotelu Transylwania* – Dracula, Wilkołakiem, mumią i facetem w zielonym prześcieradle w okularach, który zapewne miał być niewidzialnym człowiekiem – schyliłem się po plecak i go zapiąłem.

Wtedy, z charakterystycznym łoskotem, zmaterializowała się *TARDIS*, a ja przypomniałem sobie, że jestem spóźniony na podpisywanie Jossa.

* * *

Gdy teraz o tym pomyślę, całą tę fantastyczność, nadnaturalność, jaka zaczęła się wokół mnie dziać, przyjąłem dość łatwo i wbrew wszystkiemu całkiem naturalnie – jak coś, owszem, nietypowego, trochę zaskakującego, ale przecież nie niemożliwego. W pewnej chwili po prostu uznałem, że albo dzieje się coś, czego nie umiem pojąć, albo wariuję, a wtedy, w sumie... patrz punkt pierwszy. Thor mnie zaskoczył i zdziwił, Herkules i Batman też, niebieska budka Doktora? Chyba bardziej mnie interesowało, która inkarnacja wyjdzie z środka. Ci natomiast, którzy pojawili się później, jak: Konfederata w generalskim mundurze i z długą brodą (czyżby „Stonewall” Jackson?), Baron Samedi, zupełnie nagi, jeśli nie liczyć cylindra, wisiorów i namalowanego na ciele szkieletu, Audrey Hepburn, ale nie ze *Śniadania u Tiffany’ego*, tylko prawdziwa, u schyłku życia, w koszulce UNICEF-u i wielu innych, byli dla mnie po prostu dodatkowymi atrakcjami, elitarnymi, bo jakby wyłącznie dla mnie. Serce zabiło mi żywiej tylko wtedy, gdy zobaczyłem najpierw krwawe ślady na ziemi, a potem w przelewającym się tłumie między stoiskami mniej i bardziej znanych grafików dostrzegłem zmęczoną umorusaną postać Johna McClane’a ze *Szklanej pułapki*. Poza nim jednak... no dobra i poza Boudiką – przepiękną, a do tego odzianą jeszcze skromniej niż Samedi, bo jedynie w niebieskie wzory wykonane barwnikiem na ciele... zjawy po prostu dla mnie istniały.

Przyjąłem to i już. Jakoś. Serio, dziś sam tego do końca nie rozumiem...

* * *

Autografów Jossa nie zdobyliśmy. Rzecz jasna, nie mieliśmy zielonego pojęcia, że do ustawienia się w kolejce po nie trzeba było mieć specjalną opaskę, którą zdobywało się, odstawszy swoje w innej kolejce dzień wcześniej, czyli w tym przypadku podczas tak zwanej *preview night*, na której nie byliśmy, przekonani, że to tylko oglądanie nowych seriali. A przecież seriale – nieważne, nowe czy stare – to my sobie możemy w domu zobaczyć.

Robal oczywiście po swojemu skomentował ideę kolejki do losowania miejsca w innej kolejce, mówiąc: „Pojebaaaaaaneeee!”. Tak, tak właśnie przeciągał, przewracając przy tym oczami i stukając się palcem w skroń. A potem powiedział, że widział gwiazdę porno Rona Jeremy’ego, jak siedział na stanowisku Tromy.

– Pewnie jeszcze tam jest – stwierdził.

Przez moment rozważaliśmy, czy tam nie pójść, ale tłum, w którym był i Freddy Krueger – na szczęście widoczny dla wszystkich i z gumowymi ostrzami, i seksowne dorosłe wersje Atomówek, poniósł nas jednak w inną stronę. Znowu przemieściliśmy się w kierunku pawilonów filmowych, a potem do wyjścia z hali wystawowej. Obaj jednogłośnie uznaliśmy to za znak, że wypadałoby wreszcie wybrać się na jakiś panel czy punkt programu.

Pierwsze kroki skierowaliśmy do największej i panelowo najatrakcyjniejszej hali H, ale szybko się okazało, że to, co wzięliśmy za główne wejście, było tak naprawdę jedynie boczną furtką dla niepełnosprawnych wraz z opiekunami. Właściwa kolejka zaczynała się przed budynkiem i ciągnęła pod namiotowymi zadaszeniami ho ho, aż pod samą kładkę. Ruszyliśmy ot tak, z ciekawości, by zobaczyć sam koniec ogonka, a im dalej szliśmy, tym bardziej dziwiła nas determinacja czekających ludzi. Można było odnieść wrażenie, że stoją tam od zawsze.

Niektórzy przynieśli ze sobą leżaki, inni dmuchane materace. Mieli swoje gry, swoje zabawy, rozmawiali, kłócili się i witali owacjami wszystkich wychodzących z hali bocznym wyjściem. Zapytaliśmy, dlaczego tak robią. Gruby brodacz w koszulce z *Władcy Pierścieni* wyjaśnił, że przepisy pożarowe zabraniają wpuścić więcej ludzi niż... tu podał jakąś liczbę, ale nie do końca zrozumiałem. Sześć tysięcy? Siedem? Coś takiego. A że według odwiecznej i świętej reguły imprezy, jak raz dostaniesz się na salę panelową, możesz w niej siedzieć do wieczora, każdy, kto zrezygnował z przywileju, dając szansę stojącym w kolejce, doczekał się zasłużonych oklasków.

– W sumie słuszne – powiedziałem po polsku.

– Nie, pojebaaaane – odparł Robal.

Raz jeszcze omiotłem wzrokiem kolejkowiczów, z których większość albo cierpliwie czekała, albo fajnie się bawiła w towarzystwie. Nikt specjalnie nie narzekał.

Nagle przypomniało mi się takie opowiadanie, bodaj Cortázara, o ludziach, którzy utkwili w korku pod Paryżem i ten korek trwał tak długo, że zdążyli zawiązać przyjaźnie, odkryć załączki miłości... a potem wszystko nagle ruszyło, postój się skończył i każdy odjechał w swoją stronę. Zastanawiałem się, czy tak było i tutaj. Czy może jednak zawarte tu znajomości przetrwają dłużej, może zaowocują wymianą maili, przyjaźnią, wspólnymi wakacjami aż po jesień życia? Strumień rozważań zdryfował w stronę spotkania z Molly Quinn i wywołał mimowolny uśmiech. „Zobaczymy się jeszcze”, powiedziała i nie brzmiało to jak pytanie.

Kilka metrów od nas z za kolejkowych barierek wyszła młoda dziewczyna w wielkich przeciwsłonecznych okularach i z włosami spiętymi w sterczący nad głową kucyk. Gdy taką fryzurę nosiła dekadę temu moja młodsza siostra, mówiono na nią „na cebule”. Dziewczyna miała błękitny top i krótką kolorową spódniczkę, spod której wystawały również błękitne legginsy długie do pół łydki. Przez ułamek sekundy zastanawiało mnie, dlaczego w ogóle opuściła kolejkę, ale wtedy zobaczyłem, że w dłoni trzyma mikrofon z nazwą jakiejś nieznannej mi – pewnie internetowej – stacji albo programu. Zaraz za nią, połączony z nią mikrofonowym

kablem niczym smyczą, pod barierką przelazł chudy jak patyk chłopak z wielką kamerą. Gdy już na chodniku przyjął właściwą pozę, można było odnieść wrażenie, że ciężar sprzętu go przygniata, ale nie – on po prostu ugiął kolana, by z właściwej perspektywy filmować dziewczynę. Ona poprawiła kucyk, przećwiczyła uśmiech i, przykleiwszy go na stałe do twarzy, zapytała, czy operator jest gotowy. Był, więc ruszyli w naszą stronę, zaczepiając kolejkowiczów – ona krokiem sprężystym, on nieco pokracznie, bo na ugiętych nogach.

Pytali o sens tej kolejki i ludzie odpowiadali różnie. Jeden, że zaraz będzie tam przecież Downey Jr., inny, że nie być na panelu Kevina Smitha, to w ogóle nie być na SDCC. W pewnym momencie ktoś pełnym przejęcia głosem zaczął mówić, że ważne jest po prostu przemieszczanie się naprzód, samo zmierzanie do celu, niezależnie od przeciwności, ale widać dziewczyna uznała ten wywód za zbyt filozoficzny dla jej mocodawców i widzów, bo nawet nie próbowała szukać autora tych słów...

Może go po prostu nie słyszy, dotarło do mnie i sam rozejrzałem się uważniej. Rzeczywiście, nie miała prawa słyszeć, bo mówił to stojący pomiędzy nerdami pastor Martin Luther King.

– Chodźmy. – Robal złapał mnie za ramię. – Tu się nie dostaniemy, a znalazłem coś innego fajnego.

* * *

Tym „czymś innym” był panel z udziałem Stana Lee, Marka Hamilla i trzech zupełnie nieznanymi mi osób, z których jedna była profesorem, a dwie pozostałe miały tytuły doktora. Tytuł spotkania pasował mi bardziej do fanów *X-files*, gdyż brzmiał: „Chcę uwierzyć”. Nieszczerólnie mnie to zachęcało, ale Luke Skywalker i legenda Marvela sami w sobie byli wystarczającą rekomendacją, więc ruszyliśmy we wskazane miejsce, czyli pod jedną ze średnio dużych sal panelowych.

Mijane po drodze, stojące wzdłuż ścian kolejki do różnych sal sprawiały, że nabrałem przekonania, iż idziemy tam zupełnie bez celu, że będzie jak z halą H i utkwimy w ogonku, czekając na panel, na który już i tak byliśmy krzynkę spóźnieni. Okazało się jednak, że obawy były nieuzasadnione. Nie tylko nikt przed salą nie czekał, ale na trwającym już spotkaniu były wolne miejsca, dlatego ochrona bez przeszkód wpuściła nas do środka.

Gdy weszliśmy, akurat przemawiał jeden z nieznanymi mi prelegentów. Staruszek Lee wpatrywał się w niego, wtulając siwą głowę w ramiona. Choć nie widziałem jego oczu skrytych za wielkimi lustrzanymi okularami, mogłem iść o zakład, że szykuje się do jakiegoś żartu – widać to było w jego co chwila rozchylających się i zamykających ustach, w jego postawie i tym pomarszczonym, psotnym uśmiechu. Brakowało tylko, by jeszcze zacierał ręce. Mark Hamill z kolei wodził wzrokiem po publice, obojętnie, bez celu i raz po raz unosił do ust plastikowy kubeczek z wodą.

Tymczasem stojący przy mównicy szpakowały mężczyzna w okularach i marynarce z łatami na łokciach, jak przystało na wytrawnego akademika, mówił

spokojnie, choć ze słyszalnym podekscytowaniem:

– Możecie nie wierzyć, możecie się zżymać, ale to, że tu dziś jesteście, to, że słuchacie, wskazuje wyraźnie, że jesteście w grupie, o której mówię. Jesteście tymi, którzy chcą wierzyć, że światy wymyślone przez Stana Lee – tu skłonił się lekko Marvelowskiemu weteranowi, ale nie dał czasu na rzucenie żartu – rzeczywistość, w której każdy może się stać wyjątkowy za sprawą przypadku lub nagłego odkrycia niezwykłego talentu, jest możliwa! Nie chodzi tu o supermoce, nie chodzi o radioaktywne pająki, beczki, które spadły z ciężarówki, kosmiczny promień czy znaleziony młot. To wszystko, niczym piórko słonika Dumbo, to jedynie złudzenie, małe oszustwo, które ma pomóc wam uwierzyć w... samych siebie.

Przerwał, upił wody, odchrząknął. Mniej więcej w tym samym momencie podeszła do nas niska Azjatka z ochrony i poprosiła, byśmy usiedli. Uczyniliśmy to, choć nie byłem przekonany, czy chcę tu zostać. Wszystko to pachniało mi szkołą pozytywnego myślenia rodem z poradników Normana Peale'a czy Josepha Murphy'ego, których szczerze nie znoszę. Z drugiej strony nogi już trochę dawały się we znaki, a tu przynajmniej było chłodno. No i, przyznam, liczyłem na ten wzbierający, pęczniejący żart Stana Lee.

– Wszystkie religie, to jedynie ukierunkowanie tej samej mocy, jaką jest nasza wiara – podjął akademik.

Zwróciłem uwagę, że mówi trochę jak Philip Zimbardo, którego miałem okazję słuchać na jednym z jego wykładów. Właściwie nie powoływał się na cytaty, autorytety. Tłumaczył prosto i przejrzyście swój pogląd, jakby był on najoczywistszą refleksją pod Słońcem, czymś, co mówiącemu przyszło mu przed chwilą do głowy, a nie jest podparte badaniami jego własnymi i dziesiątek wielkich przed nim.

– Są tacy, i ja się skłaniam w tę właśnie stronę, którzy twierdzą, że wiara ma moc sprawczą, że sami sobie kreujemy bogów i bohaterów, że oni żyją dzięki nam. Tak powstawały starożytne panteony, herosi, tak powstają dzisiaj celebryci i bohaterowie pod pomniki. Jesteście boskim tchnieniem, które budzi do życia gliniane figury rzeźbione wyobraźnią pana Lee, George'a Lucasa i wielu innych. Niektórzy nazywają to zawieszeniem niewiary, ale to tylko podwójne zaprzeczenie. Bo wy chcecie wierzyć!

Pomyślałem z obrzydzeniem: truizm i populizm, ale widać to wystarczyło, bo ludzie nagle zerwali się z miejsc i zaczęli klaskać. Wymieniliśmy z Robalem zniesmaczone spojrzenia. Gdy szepnąłem bezgłośnie: „Chodźmy stąd”, on zaraz skwapliwie pokiwał głową.

Akademik, może i nawet profesor, już mi się nie kojarzył z Zimbardem. Teraz jawił mi się jako drugi Coehlo, który zrobił ze sztuki poszukiwania siebie to, co Meyer z wampirami. Wzdrygnąłem się i ruszyłem do wyjścia.

Po drodze obejrzałem się jeszcze, by się upewnić, czy Robal aby się nie rozmyślił i zobaczyłem Molly. Wciąż w tym samym stroju Gaimanowskiej Śmierci klaskała na stojąco w pierwszym rzędzie. Zrobiło mi się trochę... smutno.

Tego dnia odwiedziliśmy jeszcze kilka paneli i spotkań, widzieliśmy parę fajnych fanowskich produkcji i wprosił się sprytnie na konferencję prasową *The Walking Dead*. Więcej w tym było szczęścia niż sprytu, ale się udało i wyszliśmy z autografami obsady w moim notesie i telefonem pełnym zdjęć.

Ktoś na korytarzu powiedział, że gdzieś dalej jest wystawa wszystkich kostiumów z ostatnich produkcji Marvela, więc poszliśmy. Spotkaliśmy Arnolda Schwarzeneggera w skórzanej kurtce, ale nie musiałem nawet patrzeć na Robala, by wiedzieć, że to tylko ja go widzę i lepiej nie podchodzić po autograf. Trudno było na pierwszy rzut oka stwierdzić, kto go programował – Skynet czy John Connor – i jakie miał dyrektywy.

Blisko dwudziestej przyjechał nasz cudowny gospodarz, by zabrać nas do domu. Po drodze zahaczyliśmy o budkę In and Out, choć wcale nie byliśmy szczególnie głodni. Na szczęście wtedy mrukliwy dotąd Robal przejął ciężar konwersacji, bo nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Gdy dotarliśmy do domu, wszedłem do przydzielonego nam pokoju i runąłem na łóżko, a kiedy otworzyłem oczy potrząsany przez Robala, był świt następnego dnia.

* * *

Pod gmach konwentowy dotarliśmy następnego dnia wcześniej, jakoś przed ósmą, a mimo to ulica już huczała i szumiała prawie jak dzień wcześniej w południe. Najgłośniejsi byli rzecz jasna kaznodzieje wymachujący poźółkłymi bibliami przypominającymi książki telefoniczne, rozdający monopolowe „karty wyjścia z piekła” z cytatami mającymi zapewnić zbawienie czy krzyczący do megafonów, że nie Batman, lecz Jezus jest prawdziwym bohaterem.

Zdażyłem pomyśleć, że te słowa to pewnie zemsta za wczoraj, za klęskę faceta ze styropianowym krzyżem. Wtedy, jak na zawołanie, zobaczyłem i jego – Jezusa. Nauczał ze stołka wpatrzony w tłum przed sobą, zupełnie jednak nie dostrzegając przysłuchujących mu się z uwagą Mahatmy Gandhiego i potężnego słoniogłowego boga Ganeśi. Uznałem to za niezwykle zabawne i warte zapamiętania pod przyszłe opowiadanie. O ile kiedyś udzieli mi się pasja pisania eklektycznych opowieści w duchu Matta Ruffa.

Choć nie – dumalem niesiony już prądem kolorowego tłumu przez pasy i dalej, w stronę wejść do budynku – taki prześmiewczy obrazek pasowałby raczej do którejś z rubasznych wizji Christophera Moore’a. A może raczej...

Na podjazd dla autobusów wjechała ciężarówka z wielką naczepą, cała pomalowana w amerykańskie barwy – biel, tu zastąpioną srebrem chromu, metaliczną czerwień i błękit. Ledwie się zatrzymała, przy wtórze wizgów i zgrzytów przetransformowała się w Optimusa Prime’a, który ruszył przed siebie, by rozmyć się w chmurze niebieskiego dymu kilka kroków dalej. Choć już trochę przywykłem do tych niezwykłości, to jednak scena rodem z filmu *Baya* zrobiła na mnie duże wrażenie.

Stałem tam więc z rozdziawioną gębą, potrącany przez konwentowiczów idących to w jedną, to w drugą stronę, aż wreszcie Robal podążył spojrzeniem za moim

wzrokiem i skrzywił się z niesmakiem.

– Stary, serio? – zapytał. – Przecież widzieliśmy już z tysiąc ładniejszych. Nie widzisz, że jej się tłuszcz wylewa spod kostiumu?

Potrząsnąłem głową, jakby przebudzony ze snu – snu we śnie, jak kiedyś sugerował Poe? – i spojrzałem tam, gdzie w przeświadczeniu mojego przyjaciela patrzyłem już od dłuższej chwili. Oczywiście miał rację. W stojącej naprzeciwko Poison Ivy nie było zupełnie nic atrakcyjnego.

Przetarłem twarz ręką i westchnąłem:

– Potrzebuję kawy.

* * *

Chciałem i dostałem. Zapłaciłem za bieloną lurę z torebki jakieś horrendalne pieniądze, ale nie narzekałem specjalnie, bo za mną w kolejce był Dirk Benedict, pamiętny Buźka z *Drużyny A*. Ostatecznie więc zamiast dwóch kaw kupiłem trzy – choć bardzo się wzbraniał – i we trójkę, bo jeszcze z Robalem, spędziliśmy przemiłe dwadzieścia minut, konwersując przy plastikowym stolyczku o konwentach, serialach i o tym, jak mu się podobał Bradley Cooper w jego roli. Potem oczywiście narobiliśmy sobie z nim zdjęć, które zaraz wrzuciliśmy na Facebook, bo cóż to za fanowskie szczęście, którego nikt ci nie zazdrości.

Potem naładowani i spotkaniem, i kawą poszliśmy się mierzyć z konwentową rzeczywistością. Ten dzień przyniósł nam więcej szczęścia niż poprzedni, jeśli chodzi o spotkania. Najpierw jakaś kobieta na wózku zapytała mnie, czy nie pomógłbym jej dostać się na halę H, bo jej opiekun musiał pilnie pojechać do hotelu. Oczywiście pomogłem i dzięki temu zobaczyłem na żywo Jodie Foster i Matta Damona, w dodatku z odległości raptem pięciu metrów. Potem Robal, który z początku był nieco zły o mojego farta, wywalczył nam w kolejce opaski oznaczające miejsca we właściwym ogonku do ekipy z *Supernatural*.

Jensen i Jared byli, trzeba przyznać, przemili. Nie ukrywajmy jednak, że nam jako fanom *Firefly* chodziło przede wszystkim o grającego w obu serialach Marka Shepparda. Gdy się do niego dopchaliśmy, zaczęliśmy go zasypywać wiadomościami, wpadając w niezrozumiałe słowotoki. Komentował to wszystkim cierpliwym „doprawdy?” albo „o, to bardzo miłe”. Pewnie moglibyśmy tak bez końca, ale w pewnej chwili ochroniarz grzecznie, acz stanowczo polecił nam, byśmy nie tarasowali kolejki. Argument, że wykorzystujemy tylko czas zaoszczędzony na obu braciach Winchester, jakoś nie podziałał.

Potem się snuliśmy. Robiliśmy zakupy, sprawdzaliśmy rozpiski, gdzie i kiedy rozdawane są gadżety, gdzie podpisuje ktoś bez kolejki i ogółem gdzie coś się dzieje. Potem zrobiliśmy sobie przerwę od hali wystawowej, próbując się dostać najpierw na prezentację nowego sezonu *Breaking Bad* (bezskutecznie), a potem na jakiś panel, gdzie gościem był Neil Gaiman. Wchodząc na tę salę, pomyślałem, że może znowu uda się spotkać Molly; skoro miała taki kostium, musiała być przecież fanką, ale nie było jej tam. Niejako w ramach pocieszenia Neil, zamiast jak wszyscy wyjść po spotkaniu bocznym wyjściem, zstąpił z piedestału między fanów i podpisywał

książki. Pozdrowiłem go, na wyrost, od mojego przyjaciela, który kiedyś go tłumaczył, gdy pisarz był w Polsce, a Neil ucieszył się i koniecznie kazał odpozdrowić.

Tak mijał nam ten dzień aż do szesnastej, kiedy to nagle zdaliśmy sobie sprawę, że obaj jesteśmy potwornie głodni. Przerwaliśmy konwentowanie, by wyruszyć na poszukiwanie jakiegoś jedzenia. Początkowo planowaliśmy Starbucksa, ale zaniósł nas nieco dalej i w ten sposób odkryliśmy Smashburgera, który miał najlepsze bułki do burgerów na świecie. Nazywały się chyba „jajeczne”.

Tam też usłyszeliśmy od dwóch takich, co się do nas przysiedli (ja znowu stwierdziłem, że to Portorykańczycy, a Robal uznał, że chuja tam wiem), że konwent konwentem, ale najważniejsze na Comic-Conie jest to, co się dzieje na Gaslamp Quarter po zamknięciu centrum.

– Powaga, aktorzy chodzą po ulicach, na dyskotekach laski w kostiumach, karnawał jak w Rio! – ekscytował się jeden Portorykańczyk, podczas gdy drugi nadużywał mojej uprzejmości, podzerając mi frytki. – Musicie to zobaczyć!

Postanowiliśmy, że rzeczywiście musimy, ale gdy wróciliśmy na konwent, okazało się, że żołądek Robala nie był takim entuzjastą Smashburgera, jak on sam. Stało się na tym, że gdy nastał wieczór, a po nas przyjechał gospodarz, mój przyjaciel zabrał się z nim, a ja zostałem sam.

Stałem tuż obok przejścia dla pieszych, niemal w tym samym miejscu, gdzie wcześniej morfował szef Autobotów. Patrzyłem na szeroką, skąpaną w blasku gazowych lamp, tętniącą życiem główną ulicę San Diego i myślałem: „W co ty się ładujesz, koleś? Przecież ty nawet nie lubisz imprez! Nie znasz za dobrze języka! Jak wrócisz do domu?”.

Ale wtedy właśnie otoczyła mnie drużyna futbolowa zombie i poniosła ze sobą przez pasy.

Ku przygodzie!

* * *

Powiedziałem, że ulica „tętniła życiem”, ale to tylko pułapka utartego zwrotu, tętnienie kojarzy mi się bowiem z jakimś określonym rytmem, szybszym lub wolniejszym, ale w pewnym stopniu regularnym, przewidywalnym. A tego stanowczo nie można było tutaj powiedzieć.

Szedłem urzeczony i nieco onieśmielony, mijając najpierw restauracje czy puby na czas trwania konwentu przejęte przez stacje telewizyjne. Całkowicie zmieniono w nich wystrój, obsługa dostała nowe uniformy – a może została zastąpiona? – menu komponowało się nazewniczo z nadchodzącą ramówką AMC czy Sci-Fi Channel. Potrawy wyglądały klasycznie, pewnie tak samo jak poza tym czterodniowym sezonem, ale już talerze, serwetki, kubeczki czy sama klientela przywodziły na myśl szaloną gwiazdnowojenną kantinę Mos Eisley albo Arkę Noego dla stworów popkultury.

Na czas imprezy ulicę zamknięto dla ruchu i zamieniono w wielki deptak, więc bez większych skrępowań szedłem teraz środkiem asfaltu, niemal po samej linii,

mijając hotele i puby, odwracając się na dźwięk pisków i przyglądając się co lepszym kostiumom. Teraz, w świetle lamp gazowych, gdy rozmywały się wszelkie mankamenty, gdy półmrok niwelował półproduktową umowność, dopiero robiły wrażenie te lateksowe kociaki, te zbroje rodem z fantasy i skafandry z przyszłości.

Za pierwszym skrzyżowaniem zatrzymałem się na moment przy policyjnym radiowozie z włączonymi kogutami, przekonany, że oto jestem świadkiem interwencji. Jednak tylko mi się zdawało. Co prawda dwaj brzuchaci funkcjonariusze rzeczywiście rzucili faceta na maskę i jeden wykręcił mu rękę do tyłu, ale to wszystko było na pokaz, bo zaraz go rozkuli i podsunęli skarbonę na jakiś cel. Ich twarze, skąpane w czerwieni i błękie kogutowego blasku promieniały, w oczach dało się dostrzec jedynie radość, która udzieliła się i mnie. Ruszyłem dalej, pogwizdując motyw przewodni z nowego Doktora Who. Jakże zrobiło mi się miło, gdy ktoś go podjął, a kiedy się odwróciłem, zamachał do mnie ręką.

Serce mi zamarło, bo oto zobaczyłem, iż współgwizdacz ma twarz Nathana Filliona. Zaraz jednak się uspokoilem, bo skoro nikt go nie zaczepiał, znaczyć to mogło jedynie, że nie jest prawdziwy. Czy też inaczej, że nie jest Fillionem, a jego serialowym wcieleniem, Richardem Castle'em, ojcem postaci granej przez Molly Quinn. Zresztą i tak ledwie machnął, a już zniknął w mroku.

Oprócz niego nie spotkałem nikogo znanego aż do końca ulicy, więc wreszcie zawróciłem. Wyrzuciwszy do kosza naręcze zebranych po drodze ulotek, stwierdziłem, że wejść do pierwszego normalnie wyglądającego pubu na piwo.

Wypadło na irlandzką knajpę, która oprócz tego, że miała czarnoskórego wykidajkę w meloniku, nie sprawiała wrażenia specjalnie niezwykłej. Żadnego zmienionego menu, żadnych plakatów na witrynie, żadnych zniżek dla konwentowiczów. W środku też w miarę klasycznie, za wyjątkiem Batmana i Kobiety-Kota gwarzących sobie przy drinkach w rogu sali.

Usiadłem, a gdy zjawiała się kelnerka zamówiłem coś dobrego i jasnego. Najbliżej spełnienia tych warunków był Heineken, więc poprosiłem, tyle że z sokiem. Zmierzyła mnie wzrokiem z kpiącym uśmiechem, a ja chciałem odpowiedzieć, że to nie zabijanie sobie smaku, a co najwyżej dobijanie tego, co go nieudolnie udaje. Nie wiedziałem jednak, jak jest „dobijać” po angielsku, więc zamiast tego wycofałem się z hańbiącego dodatku.

Gdy kelnerka poszła, wyciągnąłem z plecaka informator i zacząłem rozważać, co i gdzie zaliczyć następnego dnia. Pomyślałem, że skoro i tak nie idę spać, to równie dobrze mogę się już nad ranem ustawić w kolejce do hali H. Być może mi się poszczęści, a wtedy zostanę tam cały dzień. Wszystko zależało od programu.

Nagle coś mignęło mi przed oczami i ktoś usiadł naprzeciwko. Uniosłem głowę i zobaczyłem Molly. Była w tym samym co wcześniej stroju Śmierci, ale policzki miała zaróżowione, a uśmiech stanowczo nie Przedwieczny i Nieskończony.

– Cześć – spróbowała po polsku i była to naprawdę urocza próba.
– Cześć – odpowiedziałem, po czym przeszedłem już na swój angielski. – Uczysz się polskiego, bo chcesz do nas przyjechać?

Wzruszyła ramionami, wciąż się uśmiechając. Widać było, że łapie oddech przed

dalszą zabawą, że wpadła tu na chwilę wyciszenia, by zaraz szaleć dalej; jej ramiona jeszcze drżały, nogi tańczyły pod stołem.

– Widziałam cię dzisiaj na panelu – powiedziała. – Jak ci się podobało?

– Niezbyt – stwierdziłem szczerze.

Zaraz tego pożałowałem, bo wypadaloby, żebym takie stwierdzenie poparł jakimś wyjaśnieniem, a wyraźnie brakowało mi słów, by ubrać w nie myśli. Mimo to spróbowałem:

– Nie lubię, gdy ktoś dla taniego poklasku mówi innym, że są super.

Zmarszczyła brwi.

– A powiedział coś takiego? – zapytała najwyraźniej szczerze zdumiona. – Bo ja słyszałam, jak profesor mówił o tym, że mamy w sobie wiarę i od nas zależy, jak ją wykorzystamy. Że wiara to wielka siła i moc sprawcza, która pozwala nam tworzyć i łączyć albo niszczyć i dzielić. Niezależnie od tego, w co wierzymy.

Przymknąłem oczy. Znowu ta niemoc, ten przeklęty brak słów, ta bezsilność niepozwalająca mi na wejście w polemikę. Wiedziałem, że zrozumie, gdy zacznę kaleczyć gramatykę jej języka, gdy źle wymówię słowa, wykoślawię lub pomylę znaczenia – tylko moi rodacy są w tym zakresie złośliwi i bezlitośni, obcy w zasadzie nigdy – ale i tak było mi wstyd, jeszcze bardziej niż wtedy, gdy widzieliśmy się za pierwszym razem w holu Centrum.

Z drugiej strony machnąć ręką i poddać się też nie mogłem, więc westchnąłem, spojrziałem w te śliczne niebieskie oczy i spróbowałem:

– Nie zgadzam się, że to, co nas tutaj łączy, to wiara – powiedziałem. – Nie zgadzam się na takie naciąganie „zawieszenia niewiary”, by zrównać Marvela i, bo ja wiem, chrześcijaństwo. W tym pierwszym wiemy, że historie, które czytamy, to bzdury, w tym drugim... no niekoniecznie. Poza tym, co znaczy: moc sprawcza wiary?

– Ty mi powiedz – odparła z rozbawieniem.

Poprawiła perukę i wsunęła pod nią kilka niesfornych złotomiedzianych kosmyków.

– To ty widzisz niezwykłości, czyż nie?

No tak, tu mnie miała. Gdy się nad tym zastanowić, nie potrafiłem znaleźć dla wszystkich widzianych przeze mnie istot wspólnego mianownika innego niż właśnie wiara. Tworzymy sobie bogów i herosów wedle własnych potrzeb, by dostarczali nam emocji, by opowieści o nich nas bawiły, ale i wzruszały. Musimy wierzyć w ich życia, żeby nie byli nam obojętni. A gdzie... „dwóch albo trzech zbierze się w imię moje, tam Ja jestem pośród nich”, wdarło mi się do głowy ewangeliczne zdanie niczym gotowy wzór, w którym wystarczy podmienić literki na cyfry, by otrzymać wynik. Jezusa na bliżej niepojętą moc sprawczą. Wiarę.

Gdzie dwóch albo trzech... Albo sto pięćdziesiąt tysięcy.

Kelnerka przyniosła piwo i zapytała Molly, czy coś chce, ale moja towarzyszka odmówiła.

– Pij szybko – poleciła mi zamiast tego. – Umiesz tańczyć?

Wzruszyłem ramionami, nie za bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. Bo co dzisiaj

właściwie znaczy tańczyć? Ona jednak najwyraźniej wzięła to za potwierdzenie, bo powiedziała:

– Jest tu takie jedno fajne miejsce. Właściciel to też Polak. Opowiedziałam mu o tobie i chciał cię poznać.

Uśmiechnąłem się. Opowiadała o mnie? Schlebiało mi to jak cholera, ale też zastanawiałem się, cóż w zasadzie mogła o mnie wiedzieć? Rozmawialiśmy właśnie drugi raz w życiu, w dodatku – za sprawą mej językowej bariery – dość nieudolnie. Pomyślałem, nie pierwszy raz, iż ta dziewczyna musi być jedną z najmiłszych osób na świecie, co osobliwie kontrastuje z jej strojem. A potem podniosłem pokal, przepiłem do niej i pokazałem, jak w kraju, o którym krążą alkoholowe legendy, pije się piwo. Niby to mały powód do dumy, ale chyba była pod wrażeniem.

* * *

Chwilę później wyszliśmy z lokalu, znowu w sam środek roztańczonego, kolorowego tłumu, pomiędzy ulotkowych nagabywaczy, superbohaterów po służbie zataczających się aż miło, Myszkę Miki przytuloną do latarni i karocę Kopciuszka, z której wnętrza lypało oko stroboskopu. Na hotel wspinał się King Kong, ulicą szedł witany owacjami Legion 501, równo, na lewą nogę, żadnego wstydu dla prowadzącego ich Lorda Vadera. Finn i Jake z *Czasu na przygodę* przebiegli zupełnie tego nieświadomi pod samymi stopami osiemnasto- czy nawet dwudziestoręcznej bogini Kali śmierdzącej miedzią krwi i jakimś kadzidłem.

Na jej widok przystanąłem. Co zaskakujące, zrobiła to również Molly.

– Niesamowita jest, no nie? – zapytała.

Jedyne, co mogłem zrobić w swym zdumieniu, to pokiwać głową, a potem rozejrzeć się, czy nas „widzących” jest więcej. Nie, tylko my dostrzegliśmy krwawą Panią, władczynię życia i śmierci, strażniczkę reinkarnacji. Podobnie tylko nam było dane zobaczyć Doktora z *Powrotu do przyszłości*, który tłumaczył coś Marty’emu i w roztargnieniu wrzucił monetę do miseczki siedzącego na skraju chodnika Buddy.

Patrzyłem na to jak urzeczony, a gdy zrównałem się z Molly, wyciągnąłem rękę, by ująć jej dłoń. Nie dostrzegła tego gestu, więc po prostu stałem tam, rozczapierzając palce, wyteżając wzrok i kręcąc głową na lewo i prawo, po części z niedowierzania, bardziej jednak, by wszystko ogarnąć, by nie uronić ani chwili. Zupełnie jak wtedy, pierwszego dnia, gdy stałem na pożyczonym, a potem zgubionym gdzieś krzeselku, a nieopodal kaznodzieja nawracał Mrocznego Rycerza z Gotham. Teraz byłem jeszcze o krok dalej w tej niesamowitości, bo tu fikcja mieszała mi się z rzeczywistością, która przecież, za pomocą masek i kostiumów, usilnie starała się stać... fikcją właśnie. Widziałem więc i życzenie, i jednocześnie jego spełnienie. Zawieszenie niewiary i owoc wiary w stanie czystym. To był moment, w którym, wpatrzony w unoszącego się nad nami Sokoła Millennium, chciałem powiedzieć mojej towarzyszce, że oto widzimy różnicę, widzimy błąd w rozumowaniu profesora, ale gdy zmusiłem się, by na nią spojrzeć... zobaczyłem, że Molly już nie jest sobą. Zniknęły gdzieś uroczo zaróżowione policzki, niebieskie oczy, lekko rozchylone usta. Biel twarzy stojącej koło mnie dziewczyny nie była już

puddrem czy farbą, czerń ust i czerń oczu nie były soczewkami czy szminką. Krzyż Ankh skrzył na jej piersi.

Zamrugalem gwałtownie i cofnałem się o krok, wpadając na Jacka Sparrowa. Bąknąłem przeprosiny po polsku, a on i jego towarzystwo chcieli się ze mną napić. Odmówiłem, nie odrywając wzroku od... tak, właśnie od Śmierci.

Ona natomiast, widząc, że dostrzegłem zmianę, przechyliła głowę, uśmiechnęła się smutno i powiedziała:

– Zatańczymy kiedy indziej, dobrze?

To nadal był głos Molly, ale wzmocniony pogłosem, echem, zupełnie jakby dochodził z głębi studni.

Pokiwałem tylko głową. Cóż jeszcze mogłem powiedzieć albo zrobić? Nie miałem pojęcia, skąd ta nagła zmiana, nie miałem pojęcia, czy kiedykolwiek miałem do czynienia z prawdziwą Molly Quinn, czy może jedna ze zjaw po prostu postanowiła być bardziej rozmowna. Nie wiedziałem zupełnie nic oprócz tego, że właśnie stałem twarzą w twarz ze Śmiercią... a ta mówiła, że dziś ze mną nie zatańczy. To chyba dobra wiadomość, nie? – myślałem gorączkowo. A jednak jednocześnie gdzieś w sercu czułem żal.

– Zobaczymy się jeszcze? – zapytałem.

Z jej rozbawionej miny wyczytałem, jak bardzo głupie było to pytanie.

– Oczywiście – odparła, a potem odgoniła mnie ruchem ręki jak natrętną muchę.

– Idź już, powinienesz odpocząć, a ja trochę się zabawić, zanim...

Zamyśliła się, po czym machnęła ręką i, nie czekając na moją odpowiedź, ruszyła tanecznym krokiem pomiędzy ludzi.

A ja? Cóż, skręciłem w jakąś boczną uliczkę, upewniłem się, czy mam dość pieniędzy, by wziąć taksówkę, i pojechałem do domu.

* * *

Spałem długo, bo gdy obudzono mnie wreszcie gwałtownym szarpaniem za ramię, klimatyzator pracował na pełnych obrotach, a do pokoju wpadało już stanowczo zbyt wiele światła jak na siódmą rano.

Poczułem jeszcze jedno szarpnięcie, gwałtowne i bolesne, więc przetoczyłem się na plecy i spojrzałem prosto w przerażoną twarz naszego gospodarza. Ten złęczony i zacięty wyraz natychmiast mnie rozbudził. Poderwałem się gwałtownie, pytając, co się stało, a on powiedział, żebym sam zobaczył, w telewizji.

Złapałem więc za spodnie, koszulkę i wybiegłem do salonu. A tam na wielkim płaskim ekranie CNN nadawało właśnie transmisję na żywo z Centrum Konwentowego w San Diego.

Reporter nadawał coś rozemocjonowanym głosem z prędkością karabinu maszynowego, ale ja mogłem widzieć tylko obrazy. Budynek Centrum rozerwany jakby na pół, wielką osmoloną dziurę zamiast głównego wejścia, płytę pierwszego piętra sterczącą z wyłomu niczym kość przy otwartym złamaniu. Wokół gmachu rozstawiono liny i barierki. Po jednej ich stronie kłębiły się tłumy przerażonych gapiów, po drugiej nieco zdezorientowane służby próbowały odnaleźć się w całym

tym zamieszaniu. Strażacy z wycięgniętych dogaszali płomienie, inni pomagali pielęgniarzom i policji wyciągać spod gruzów zmasakrowane zwłoki.

Poczułem, jak uginają się pode mną nogi. Spróbowałem oprzeć się ręką o stół, ale blat był niżej niż sądziłem, więc zachwiałem się i straciłem kubek. Zawartość rozlała się na dywan. Gospodarz skoczył do mnie, podtrzymał, powiedział coś uspokajająco, ale go nie słuchałem. Przed oczami miałem tylko te obrazy. Dym, osmoloną wyrwę w sercu światowej stolicy nerdów. I trupy. Mój Boże, Chrystusie, tyle trupów...

Reporter dostał jakiś komunikat i nagle ekran podzielił się na pół, by ktoś ze studia mógł poinformować, że do zamachu przyznała się jakaś organizacja terrorystyczna, której nazwa nic mi nie mówiła. Ktoś obraził ich religijne uczucia i za to został ukarany, tyle do mnie dotarło. Pomyślałem o tym, o czym wczoraj rozmawiałem z Molly, że wiara może tworzyć, ale może też służyć złemu. To, co wczoraj było truizmem, dziś uwypukliło jeszcze jeden banał. Śmierć nie jest skomplikowana. Zło też nie, nie u swojej podstawy. Zło i śmierć są równie banalne jak dobro. Przypomniały mi się oczy Śmierci, która już nie była młodą aktorką, ale sobą. Przypomniały mi się jej słowa, że dziś nie zatańczymy, a potem to, co powiedziała o zabawie, zanim...

– Zanim ktoś jednak zatańczy – powiedziałem na głos, po polsku.

Mój gospodarz, myśląc może, że to słowa jakiejś modlitwy albo wyraz żalu czy zdumienia, objął mnie ramieniem. I ten właśnie moment, ten dotyk sprawił, że naraz wszystko zaskoczyło, połączyło się w całość. Spojrzałem w róg ekranu na zegarek, błyskawicznie dodałem, co było do dodania, a wtedy rzeczywistość uderzyła z całym impetem.

– Gdzie jest Robal?! – krzyknąłem po angielsku, strącając z ramienia rękę gospodarza.

Spojrzałem mu w twarz i już nie musiałem słyszeć odpowiedzi, bo była zawarta w spojrzeniu, we łzach zgromadzonych w kącikach oczu, w drżącej wardze, gdy mówił:

– Przyszedłeś późno, nie chcieliśmy cię budzić... Powiedział, że dojedziesz, a on zajmie miejsce w kolejce i...

Poczułem nagły skurcz w żołądku i zdążyłem się tylko minimalnie odwrócić, a potem zwymiotowałem gwałtownie żółcią. Łzy napłynęły mi do oczu, serce tłukło się jak oszalałe, a żołądek kurczył się i rozprężał. Pompował, jakby chciał wyrzucić ze mnie to podłe uczucie, ale jedyne, co miał, to ta obrzydliwa, paląca żółć.

W końcu, gdy naprawdę nie miałem już czym wymiotować, runąłem na kolana. Wyjął do ekranu, wzniosłem ręce, jakbym prosił telewizor o łaskę. Jaką? Nie mam pojęcia. Po prostu o łaskę...

Wtedy ją zobaczyłem. Szła w tych swoich obcisłych spodniach, w czarnym topie, z rozwichrzonymi włosami. Krzyż Ankh lśnił pomiędzy jej drobnymi piersiami, pierścienie i bransoletki skrzyły w Słońcu. Podobnie jak służby przechadzała się między ruinami, ale zamiast szukać zwłok, podchodziła do tych już odnalezionych i... pomagała im wstać. Widziałem, jak oszołomieni umarli przyglądają się swoim ciałom, jak reagują na ten widok – czasem ze spokojem, a czasem jak ja przed

chwilą. Każdemu kładła rękę na ramieniu, każdemu szeptała coś do ucha i wreszcie każdy z nich odchodził, by poczekać na nią nieco na uboczu.

W pewnej chwili Śmierć zatrzymała się na kawałku gruzu, zakolysała na nim i spojrzała prosto w kamerę. W tym jednym momencie wyglądała jednocześnie jak Molly i ta pradawna, nieskończona istota, która odmówiła mi tańca. Była obiema i żadną zarazem, ale kimkolwiek się teraz stała, patrzyła prosto na mnie, uśmiechając się smutno. W pewnej chwili pomachała mi, a gdy jej w głupim odruchu odmachalem, wskazała na coś palcem.

Jak na zawołanie kamera podążyła w tamtym kierunku, a potem zbliżyła na wewnątrz otwartej karetki. Dostrzegłem siedzącego na kozetce mojego przyjaciela, krzywiącego się z bólu, gdy pielęgniarz opatrywał mu złamany obojczyk czy żebra...

Ulga rozlała się po mnie ciepłem, z gardła dochodził tylko stłumiony charkot, nieartykułowany klekot, w domyśle znaczący: „dziękuję”.

A potem osunąłem się na podłogę i po prostu tak zostałem.

* * *

Zostaliśmy w Stanach dłużej, ponieważ reakcją amerykańskiego rządu było, podobnie jak po wydarzeniach z pamiętnego września, zablokowanie ruchu powietrznego. W tym czasie Robal odbył dziesiątki rozmów z polskimi mediami, raz po raz opowiadając, czego był świadkiem i co się właściwie wydarzyło. Po kilku razach zaczął używać moich słów, gdy mówiłem o wierze jako narzędziu podobnym do dynamitu, który można wykorzystać na dwa sposoby, ale o ileż łatwiej w tę złą stronę. Dziennikarze z Polski zgadzali się z każdym słowem, przytakiwali, dodawali własne banały.

Nie krzywiłem się na nie, moje patrzenie na banal bardzo się zmieniło. Z uwagą wsłuchiwałem się w wypowiedzi aktorów odwiedzających szpitale z ofiarami, orędzia prezydenta mówiącego, że nie damy się zastraszyć, Jossa Whedona, który w telewizji śniadaniowej zapowiedział, że tym razem terroryści uderzyli w coś znacznie większego, niż mogło im się wydawać. A potem powtórzył masę słów tamtego profesora z konwentu, tyle że w ustach Jossa brzmiały one nagle i prawdziwiej, i mocniej – jakby dowódca armii właśnie informował wroga, że podejmuje wyzwanie.

– Wierzmy w moc wyobraźni – powiedział Whedon. – Wierzmy w to, że różne wizje świata mogą się ścierać nie tylko na poziomie teologicznych dyskursów, lecz także w zeszytowych komiksach, że każdy ma prawo wyrazić swój pogląd, ale i wątpliwość. I dziś, gdy nie opadł jeszcze wzniecony zamachem strach, może się wam wydawać, że tę wiarę utraciliśmy, że już jej nie ma. Ale jest coś, czego wy nigdy nie znaliście, a my robimy to każdego dnia, biorąc do ręki komiks, włączając film. To...

– Zawieszenie niewiary – odpowiedziałem, nareszcie rozumiejąc.

Joss natychmiast spojrzał w kamerę i się uśmiechnął. Ale tym razem nie do mnie, lecz do nas wszystkich.

Do wierzących.

Posłowie

Tekst o Comic-Conie miałem napisać zaraz po imprezie. Miał być zupełnie inny i opowiadać skrajnie inną historię. Jedynymi punktami, które pozostały z pierwotnego konceptu – oczywiście oprócz miejsca akcji – byli Herkules pomyłony z Tolkienowskim trollem i... Molly C. Quinn. Zapytacie dlaczego? Otóż, choć okoliczności naszego spotkania nie były może tak niezwykle, jak te opisane w tekście, to nadal Molly była tą, która pokazała nam, że na SDCC również zdarzają się ludzie jak ona, jak – obecnie trudniej dostępny – Nathan Fillion. Ludzie, którzy wyrastają z bycia fanem i nawet gdy udaje im się wejść stopień wyżej, pamiętają o tych korzeniach. Pamiętają, że sprawia im to wszystko frajdę. Mówiąc nieco górnolotnie, ale troszkę w duchu tekstu, to są tacy prometejscy herosi i heroiny, którzy obcując z Bogami Popkultury, wciąż chcą zstępować do ludzi, spędzać z nimi czas. Mówcie, co chcecie, ale uważam, że to fajne.

Zresztą z tą Molly to była zabawna sprawa. W pierwszej chwili, gdy poprosiłem ją o zapozowanie do wspólnego zdjęcia, nawet nie skojarzyłem, że to ona. Była po prostu śliczną rudowłosą dziewczyną w odsłaniającej ramiona steampunkowej sukni. Zapytałem, ona się zgodziła, a mnie jej głos zahuczał w głowie takim głośnym: Oho! Skądś znasz, gdzieś słyszałeś.

I rzeczywiście! Gdy podszedłem do Elvisa, który to zdjęcie robił, już wiedziałem, a on potwierdził – właśnie spotkaliśmy Alexis Castle. Pognaliśmy za nią, by jeszcze raz poprosić o zdjęcie, tym razem wspólne. Reakcja jej i jej rodziny była tym, co zapamiętaliśmy do dziś i co wciąż wywołuje nasz uśmiech. (No dobra, mój uśmiech. Elvis jest trochę, nie bójmy się słowa, socjopata!). Tym, co natchnęło mnie do napisania tego tekstu.

Potem z różnych przyczyn odłożyłem pisanie, a tekst w mej głowie zmieniał się, morfował. W tak zwanym międzyczasie skończyłem pisać Chłopców, napisałem Dreszcza, kilka opowiadań, potem raz jeszcze wróciłem zarówno do zagubionych wyrostków, jak i Rycha ze Śląska. Kolejne parę opowiadań, a po drodze sporo różnych dziwnych lektur...

Gdy wreszcie usiadłem do tego tekstu (pierwotnie nazywał się *Śmierć i nerd* w nieco głupawym, nieuzasadnionym fabularnie nawiązaniu do całkiem niezłego filmu Polańskiego *Śmierć i dziewczyna*), nastąpiły dwie rzeczy. Po pierwsze, po tak długim czasie, gdy temat trochę mi się przejadł, znowu miałem ochotę pisać o konwencie w San Diego. Po drugie, odbyłem bardzo ważną rozmowę na temat mojego światopoglądu z dwoma niezwykle ważnymi dla mnie osobami. Pierwszą z nich – zawsze pierwszą – był mój tata, a drugą – mój przyjaciel Kevin, który wraz ze swoją partnerką Anelią byli tymi cudownym, a niestety zmarginalizowanymi w samym opowiadaniu, gospodarzami. Te dwie rozmowy, jedna na trzeźwo, druga niekoniecznie, sprawiły, że przemyślałem nie tylko w co, ale i po co wierzę. A także, czy mógłbym nie wierzyć. Odpowiedź, rzecz jasna, w tekście.

PS. Ten tekst, od jakiegoś czasu napisany, ale długo niegotowy, wyraźnie czekał na taki moment, jak zbiórka na pomoc dla Pauli, by zaprezentować się światu. Naprawdę cieszy mnie i bawi, że tak nerdowska publikacja może wspierać i naprawdę coś zmieniać. Wielkie dzięki za Wasze wsparcie tej akcji!

The logo for Bevitore, featuring the word "Bevitore" in a white serif font centered within a dark red rectangular background.

Bevitore



Jakub Ćwiek to bestsellerowy pisarz młodego pokolenia. Jest znany z zamiłowania do klasycznego rocka oraz popkultury, ponadto jest znawcą i popularyzatorem komiksów na polskim rynku. Wyznaje filozofię życia w Drodze. Jest autorem tekstów publicystycznych, licznych opowiadań oraz czternastu książek. Wśród najbardziej znanych są cykl *Kłamca* – łączący w sobie motywy mitologiczne z popkulturalnymi, z nordyckim bogiem Lokim pracującym jako cyngiel aniołów; *Chłopcy* – historia Zagubionych Chłopców z *Piotrusia Pana*, którzy dorośli i założyli gang motocyklowy czy *Świetlik w ciemności* – dwujęzyczna bajka dla najmłodszych o dzielnych robaczkach, inspirowana serialem *Firefly*.

Teksty Jakuba Ćwieka doczekały się adaptacji teatralnych, LARP-owych, teledysków, komiksu oraz dwóch filmów krótkometrażowych.

Pisarz znany jest z nietypowego trybu życia – jest pomysłodawcą największej trasy promocyjnej w Polsce, Rock&Read Festival, promującej muzykę rockową oraz czytelnictwo. W 2013 roku w ramach R&R wziął udział w 41 spotkaniach z czytelnikami w ciągu czterech tygodni. Podczas pracy nad powieścią *Ciemność płonie* przez pół roku mieszkał na dworcu w Katowicach. Jest mocno związany z fandomem – odwiedza wiele konwentów, będąc jednocześnie organizatorem części z nich, w tym największej takiej imprezy w Polsce – Festiwalu Fantastyki „Pyrkon” 2014. Od 2012 roku jest akredytowany jako dziennikarz prasowy na San Diego Comic-Con, czyli największy konwent na świecie. To właśnie wspomnienia z pierwszej wizyty na tej imprezie posłużyły za kanwę do prezentowanego tu opowiadania.